

Jak mjr Stefan Kirtiklis województwem pomorskim włodarzył, cz. IV



Stefan Kirtiklis

(Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Stefan_Kirtiklis#/media/File:Stefan_Kirtiklis.jpg)

Nieufność i pogarda – te dwa słowa najcelniej, najtrafniej charakteryzują stosunek sanacji do ludności kaszubskiej. Sanacyjna antykaszubska wynikała z dwóch powodów. Po pierwsze, Kaszubi mieli pecha, a to dlatego, że zamieszkiwali ziemie byłego zaboru pruskiego. Dla sanacji wszystko co polskie, arcy-polskie, najwartościowsze dla Polski – wiązało się z zaborem rosyjskim i austriackim. To przecież tam przyszedł marszałek prowadził wraz z gronem swoich współpracowników – żeby nie powiedzieć: wyznawców – działalność niepodległościową. Natomiast dzielnica pruska – jako bastion endecji – była traktowana przez piłsudczyków z wielką podejrzliwością. Z drugiej strony, mieszkańcy Pomorza czy Wielkopolski nie darzyli zbyt wielką estymą piłsudczyków; wśród Kaszubów większą popularnością i uznaniem na pewno cieszył się generał Józef Haller, a nie marszałek Piłsudski. Po drugie, sanacja po zdobyciu władzy, szermując na prawo i lewo tą nieszczęsną „ideą państwowotwórczą”, uznawała dążenia Kaszubów do pielęgnowania własnej kultury, języka i obyczajów za przejaw działalności antypaństwowej, za dążenia odśrodkowe i proniemieckie (podobnie zresztą było na Śląsku, gdzie sanacja zaciekle zwalczała autonomię). Wszelkie działania kaszubskie na tym polu (np. założenie Zrzeszenia Regionalnego Kaszubów, czy wydawanie czasopisma „Zrzesz Kaszëbskô”), doprowadzały sanatorów do białej gorączki. Sanacja reagowała na nie brutalnie i histerycznie. Nasyłano na ziemie

kaszubskie całe hordy „lepszych Polaków”, którzy rugowali Kaszubów z urzędów i stanowisk; nawet posady woźnych w urzędach zostały zastrzeżone dla „lepszych Polaków”! Jeśli Kaszub ukończył studia z reguły wysyłano go do województw wschodnich, w żadnym wypadku na Kaszuby. Podobnie postępowano z nauczycielami aktywnymi na niwie kaszubskiej: Jana Trepczyka przeniesiono do Rogoźna w Wielkopolsce, a Stefana Bieszka do Zamościa. Polaków wychowanych pod panowaniem cesarza austriackiego i cara rosyjskiego, przysyłanych w celu spolonizowania ziemi kaszubskiej, Kaszubi z ironią nazywali *kulturträgerami*. Antykaszubską politykę inspirował oczywiście rząd, nadzorował na miejscu wojewoda pomorski Kirtiklis, a realizowali starostowie, w tym w szczególności zajadły wróg Kaszubów, Jerzy Czarnocki, starosta kartuski, który jako trzeci – po Twardowskim i Krawczyku – wylądował na ławie oskarżonych w tzw. procesach starościńskich. Przyjrzyjmy się teraz niektórym przejawom tej polonizacyjnej, antykaszubskiej polityki.



Aleksander Majkowski wśród Zrzeszińców (1936)

Siedzą (od lewej): Jan Trepczyk, ks. Kazimierz Bieszk, Aleksander Majkowski, Stefan Bieszk

Stoją (od lewej): Feliks Marszałkowski, Franciszek Grucza, Roman Trepczyk

(Źródło: Kopia zdjęcia w posiadaniu Dariusza Szymikowskiego)

W czasie kampanii przed tzw. wyborami brzeskimi w listopadzie 1930 roku gdyńskie struktury sanacji urządziły wiec dla Kaszubów, na którym niejaki Zuske, przewodniczący prorządowej Federacji Pracy, wygłosił przemówienie zachęcające do głosowania na Listę nr 1 – Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Jeden z jego wywodów Kaszubi skwitowali gromkim śmiechem – otóż Zuske całkiem serio oświadczył, że kiedy ćwierć wieku temu przebywał na

Pomorzu i w Gdyni wówczas Kaszubi „chodzili bez odzieży i wszyscy byli chorzy na szkarlatynę, dzisiaj (...) mają się w co ubrać i są wszyscy zdrowi” („Słowo Pomorskie”, nr 260 z 9 listopada 1930 r.). Oczywiście za ten „postęp” Kaszubi powinni być wdzięczni marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu – wszak to on, „Siewca Niepodległości”, dla dobra całego kraju, także dla dobra Kaszubów, dokonał zamachu stanu w maju 1926 roku...

Pod koniec listopada 1931 roku w Wąbrzeźnie odbyło się zebranie BBWR powiatu wąbrzeskiego. W gronie miejscowych kilkudziesięciu sanatorów prym wiódł Madziarski, niegdyś prominentny działacz Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”, który gdy tylko w 1926 roku poczuł skąd wieją wiatry historii, od razu przeflancował się do sanacji. Podczas zebrania w Wąbrzeźnie Madziarski po słowach pełnych nienawiści przeciwko „przeklętej endecji”, zaczął urągać ludności Pomorza, aż w końcu zażądał przeniesienia urzędników zarażonych „bakcyłem endeckości”, by po krótkim namyśle dodać, iż należałoby wszystkich Pomorzan przenieść do województw wschodnich, bo „Pomorzanie [ma się rozumieć, że również Kaszubi – S.S.] wciąż jeszcze tęsknią za kajzerem” („Słowo Pomorskie”, nr 279 z 2 grudnia 1931 r.). Na miejsce przesiedlonych mieli przyjeżdżać jako osadnicy jedyni prawdziwi patrioci, czyli Polacy z Kresów Wschodnich, tacy jak pan Madziarski, osadnik z Nielubia (powiat wąbrzeski), przybyły z Kresów na Pomorze, zapewne w celach „cywilizowania” pomorskich tubylców.

Wśród *kulturträgerów* poczesne miejsce zajmowali ludzie wychowani w kulcie socjalistycznych mrzonek. Pogardzali religijnością Kaszubów i postanowili zlaicyzować miejscową ludność (wiadomo, że sanacja miała tyle wspólnego z religią i Kościołem katolickim, co wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski z gospodarką wolnorynkową). „Zrzesz Kaszëbskô” z niepokojem odnotowywała tego rodzaju incydenty. Na przykład poinformowano czytelników, iż inspektorzy szkolni z Kartuz urządzali konferencje dla nauczycieli w niedzielę o godz. 9 rano, przez co „zgoła lekceważą sobie głęboką religijność tubylców, jak i miejscowe zwyczaje i obyczaje, jeżeli mimo protestu dwóch księży dziekanów, nie przesunęli terminu konferencji (...)” („Zrzesz Kaszëbskô”, nr 1 z 2 maja 1933 r.). Wizytując jedną ze szkół, inspektor, p. Massojada, nagle wskazał na obraz Matki Boskiej i rzekł: „Ten obraz należałoby usunąć i zawiesić w to miejsce jakiś inny, piękniejszy” (być może sanacyjny gorliwiec oczami wyobraźni widział już na ścianie jakąś „Apoteozę Marszałka Józefa Piłsudskiego”...). Oburzony kierownik szkoły wykrzyknął: „Przecież to obraz Matki Boskiej!”, na co pan inspektor odparł: „No tak, ale jest... stary i szpeci klasę” („Zrzesz Kaszëbskô”, nr 4 z 13 maja 1933 r.). Inspektorów nie tylko kłuły w oczy obrazy Matki Boskiej, ale nawet kłuły w uszu słowa powitania i pożegnania: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Cierpliwie pouczali dziatwę, iż w sanacyjnej polskiej szkole pana inspektora należy witać słowami „Dzień dobry”, a żegnać mówiąc „Do widzenia” (nr 5 z 17 maja).

„Zrzesz Kaszëbskô” piętnowała również politykę kadrową sanacji. Kiedy starosta

Czarnocki ordynarnie oszukał mieszkańców gminy Miszewo w kwestii powołania Komisji Rewizyjnej, Kaszubi rozgoryczeni kłamstwami starosty ułożyli petycję o jego odwołanie. „Czyż my, Kaszubi, nie mamy na stanowisko starosty dosyć naszych ludzi? Przecież są Kaszubi, którzy posiadają odpowiednie wykształcenie, poczucie sprawiedliwości i charakter. Ale niestety – tych uważa się za ludzi niezdolnych na wyższe stanowiska i albo się ich zwalnia z wyższych stanowisk urzędniczych, albo w najlepszym razie trzyma się ich zupełnie na szarym końcu” („Zrzesz Kaszëbskô”, nr 3 z 10 maja 1933 r.). Ba, w praktyce każde stanowisko związane – nawet w nikłym stopniu – z władzą, było obsadzone według klucza nomenklaturowego, nawet stanowisko... woźnego w urzędzie starostwa! Dotychczasowy woźny raptem stracił pracę, bo był z „tutejszych”, a na jego miejsce mianowano „naszego”, sprowadzonego z „kulturalniejszych stron”. „Zrzesz Kaszëbskô” zbulwersowana „postępowym” nowym woźnym (w niedzielę ostentacyjnie wykonywał ciężką pracę fizyczną w swoim ogrodzie) grzmiała: „Oburzający i pogański to uczynek, panie woźny!” (nr 4 z 13 maja 1933 r.).

Przykłady z innej beczki ukazywały urzędniczą samowolę. Oto mieszkaniec wsi Pogórze k. Gdyni skarżył się w liście do redakcji „Zrzeszy” (nr 5 z 17 maja 1933 r.) na decyzję Dyrekcji Poczty i Telegrafów w Bydgoszczy, cofającą mu pozwolenie na posiadanie radiostacji odbiorczej. Dyrekcja powoływała się na paragraf 1 punkt 9 „Rozporządzenia Ministra Przemysłu i Handlu z dnia 31 lipca 1926 r.”. Ów przepis brzmiał następująco: „Upoważnienia udzielane cudzoziemcom, jak również wszystkim osobom, zamieszkałym w 15 km pasie granicznym mogą być cofnięte na polecenie władz (...) bez podania motywów cofnięcia”. Tymczasem okazało się, że pan F.D. mieszkał 50 km od granicy z Niemcami, więc decyzja panów urzędników była bezprawna. Wobec tego rozgoryczony F.D. korzystając z gościnnych łamów „Zrzeszy” pytał się: „Czy wy, panowie, uważacie nas Kaszubów za cudzoziemców lub za szpiegów, albo za ludzi drugiej kategorii, którzy nie mają prawa korzystania z przywilejów, przysługujących obywatelowi praworządnego państwa? Pamiętajcie, panowie Polacy, jedynie nam zawdzięczacie, że Polska ma wolny dostęp do morza”. W innym numerze czasopisma (nr 6 z 20 maja 1933 r.) czytelnik, pan R. z Gdyni, żalił się, jak to pewien biurokrata z Urzędu Poczty i Telegrafów kazał na posesji pana R. przy ulicy Portowej, bez jego wiedzy i zgody, postawić na środku podwórza słup telegraficzny. Gdy R. prosił aby ten nieszczęsny słup wkopano w inne miejsce, bezczelny urzędnik odparł: „Mogę panu słup choć w komin wstawić, a po prawo może pan iść do Berlina, do Wilhelma [Wilhelm II, ostatni cesarz niemiecki; abdykował w listopadzie 1918 r. - S.S.], gdyż prawa na Kaszubach my wydajemy”. Takich przypadków lekceważenia Kaszubów przez władze było o wiele więcej, tylko opinia publiczna nie mogła się z nimi zapoznać, albowiem nożyce cenzorskie niemiłosiernie chlastały każdy numer „Zrzeszy”, bądź też konfiskowano cały nakład czasopisma. Wydawcy nie dali się zastraszyć i „wysłali specjalną delegację kaszubską, by przedstawić Rządowi krzywdy

czynione Kaszubom” (nr 7 z 24 maja 1933 r.). Co prawda premier rządu, mjr Janusz Jędrzejewicz, nie zaszczylił delegacji audiencją – wiadomo, „praca państwowotwórcza na rzecz Polski mocarstwowej” wymagała od pana premiera czasu i poświęceń – za to polecił p. Myślenickiemu, naczelnikowi Wydziału Politycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, wysłuchać skarg i postulatów Kaszubów. Pan Myślenicki wysłuchawszy delegatów wyraził swoje zdumienie przykładami szykan stosowanych przez miejscowe władze wobec ludności kaszubskiej, zapewnił, że do Warszawy nie docierały tego typu informacje, a następnie w imieniu rządu złożył następującą deklarację: „Rząd Polski jest najżyczliwiej usposobiony wobec Kaszubów i Jego szczególną troską jest dobro i zadowolenie ludności kaszubskiej. Wobec tego, te jednostki, które powodują niezadowolenie Kaszubów, a przez to krzyżują najszczęśliwsze zamiary Rządu, bezwzględnie pociągnięte zostaną do odpowiedzialności” (nr 9 z 31 maja 1933 r.). Rychło okazało się, co to znaczy sanacyjna sprawiedliwość – żadnemu panu staroście i podległym jemu urzędnikom włos z głowy nie spadł, za to spadły represje na czasopismo. Na redaktora naczelnego Aleksandra Labudę nałożono grzywnę „za niedopełnienie obowiązków o zameldowaniu maszyny drukarskiej”. Było to ordynarne kłamstwo, bo Labuda maszynę „zameldował”! Oprócz nałożenia grzywny, Labudę skazano dodatkowo na 30 dni aresztu, a starą maszynę drukarską (tzw. bostonkę) skonfiskowano. Kiedy po interwencji maszynę zwrócono, wymagała ona gruntownej reperacji. I tak już będzie do wybuchu wojny: ingerencje cenzury, konfiskaty (np. w latach 1934-1935 ukazały się tylko cztery numery pisma), zamykanie drukarni. Po zamknięciu drukarni w listopadzie 1935 roku „na podstawie przepisów przemysłowych”, Aleksander Labuda 22 listopada wystosował telegram do Prezydium Rady Ministrów, w którym niezwykle celnie streścił politykę władz sanacyjnych wobec Kaszubów: „Życie kulturalne Kaszubów z powodu uprzedzenia i braku społecznej kultury ludzi Kaszubom nadesłanych – w postaci starostów i tym podobnych kacyków – doznaje gorszego prześladowania niż za czasów osławionego <<kulturkampf>>. Zamknięcie drukarek przez starostwo nastąpiło rzekomo z powodu nieodpowiedniej ubicacji [tj. pomieszczenia – S.S.], a faktycznie dlatego, aby uniemożliwić wydawanie <<Zrzesze Kaszebskiej>>, gdyż przy opieczetowaniu jeden z nich [urzędników – S.S.] oświadczył: <<Teraz już na pewno następny numer... nie wyjdzie>>. Fakt ten nie jest jedyny w swoim rodzaju. Skazywanie i włączanie po więzieniach ludzi za sprawy kaszubskie nosi dobitnie cechy terroru ze strony władz lokalnych, co obniża autorytet zarządzeń urzędowych”.

Pora przejść do kwestii związanych z procesem byłego starosty kartuskiego. Zaczniemy zatem od nakreślenia życiorysu oskarżonego. Jerzy Czarnocki urodził się Naczy w powiecie słuckim 18 kwietnia 1889 roku (według niektórych źródeł w 1892 roku). Za działalność w konspiracyjnej organizacji uczniowskiej współpracującej ze Związkiem Walki Czynnej, władze rosyjskie usunęły go z gimnazjum w Żytomierzu. Następnie przez cztery lata studiował na

Wydziale Rolniczym Politechniki w Pradze. Po powrocie z Czech gospodarował w rodzinnym majątku w Naczy. W lipcu 1919 r. podjął pracę jako urzędnik w Zarządzie Cywilnym Ziem Wschodnich. Od grudnia 1919 do lipca 1920 r. sprawował urząd starosty najpierw w Słucku, a potem w Bobrujsku. W czasie wojny z bolszewikami przez dwa miesiące służył ochotniczo w szeregach Dywizji Litewsko-Białoruskiej. We wrześniu 1920 r. Czarnocki powrócił do służby cywilnej. Prużana i Nieśwież to kolejne miasta, w których starostował Czarnocki, przy czym w tej drugiej miejscowości urzędował jako starosta – co było ewenementem – ponad dziesięć lat. Jego kariery w Nieświeżu nie przerwała nawet sprawa dyscyplinarna, jaką w latach 1925-26 wytoczyła mu Wyższa Komisja Dyscyplinarna przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. I choć Czarnocki nie rozliczył się z funduszy publicznych, afery nie skierowano na drogę sądową, udzielając staroście tylko nagany. Być może wydając taką decyzję MSW miało wzgląd na osobę brata aferzysty, mjra Wiktora Czarnockiego – ważnej osoby w Polskiej Organizacji Wojskowej i oficera do specjalnych zleceń natury politycznej przy osobie marszałka Józefa Piłsudskiego. W lipcu 1931 roku Jerzemu Czarnockiemu powierzono obowiązki starosty w powiecie kartuskim, co było decyzją nierozsądną, jeśli zważymy, że w Nieświeżu prowadził „kreatywną” politykę budżetową, żył ponad stan i zadłużył się na około 40 tysięcy zł! (jego dług w Kartuzach wzrósł do 75 tysięcy zł!).



Jerzy Czarnocki

(Źródło: „Słowo Pomorskie”, 1937, nr 281, s. 8)

Być może „radosna” działalność finansowa Czarnockiego trwałaby aż do wybuchu wojny, a władze dalej by go chwaliły i odznaczały (otrzymał Złoty Krzyż Zasługi, Order Odrodzenia Polski i Krzyż Niepodległości), gdyby nie areszt za malwersacje finansowe współpracownika Czarnockiego, Teodora Gołuńskiego, budowniczego powiatowego w Kartuzach. Przy aresztowanym znaleziono notes, a w nim ciekawe zapiski o przekrętach finansowych pana starosty. Prokurator powiadomił o tym wojewodę Władysława Raczkiewicza, który z kolei zwrócił się do MSW z wnioskiem o pozbawienie Czarnockiego urzędu starosty i przeniesienie go na stanowisko

radcy do Urzędu Wojewódzkiego Pomorskiego. Minister gen. Felicjan Sławoj Składkowski podjął taką decyzję 28 stycznia 1937 roku. W toku śledztwa uzyskano mocne dowody przeciw Czarnockiemu, wobec czego były pan starosta 5 lipca 1937 r. trafił za kraty (siedział w więzieniu w Grudziądzu, a tuż przed procesem przeniesiono go do Wejherowa).

Proces byłego starosty Jerzego Czarnockiego toczył się przed Sądem Okręgowym w Gdyni od 6 do 20 grudnia 1937 roku. Skład orzekający tworzyli sędziowie: Mirza-Kryczyński jako przewodniczący, Karasiewicz i Potoniec jako wotanci. Oskarżał podprokurator Mojkowski, zaś obrony podjęli się adwokaci: Wedegis i Powalowski z Gdyni oraz Rudziński z Warszawy. Z aktu oskarżenia wynikało, że Czarnocki dopuścił się całego szeregu defraudacji; przede wszystkim nieprawnie pobierał zaliczki z kasy wydziału powiatowego na poczet dodatku samorządowego do przysyłanych poborów, nie rozliczał się z części wydatków reprezentacyjnych, niewłaściwie – tak, aby jak najwięcej pieniędzy trafiło do jego kieszeni – naliczał koszty podróży i diet. Były pan starosta nie gardził żadną możliwością wzbogacenia się i żadna kwota nie wydawała mu się zbyt mała. Na przykład przywłaszczył sobie 200 zł za magazynowanie towarów przeznaczonych na pomoc zimową; 250 zł zamiast do właściciela restauracji „Kaszubski Dwór” w Kartuzach, za zorganizowanie na polecenie starosty przyjęcia na cześć kombatantów włoskich, trafiło do portfela Czarnockiego; pieniądze (285 zł), które miały zostać wypłacone zubożałym rolnikom, jakimś dziwnym trafem znalazły się w kieszeni pana starosty; wydatki związane z założeniem własnej szparagarni, Czarnocki pokrył z funduszy na budowę dróg; za pomoc w załatwieniu notariatu, uradowany klient, adwokat Kazimierz Krygowski, odwdzieczył się kwotą 4252 zł, itd., itp. Niestety, w akcie oskarżenia nie znalazło się ani jedno słowo na temat szykan pana starosty wobec ludności kaszubskiej. A szkoda...

Największe zainteresowanie wśród licznie zgromadzonej publiczności na sali sądowej – tak jak w przypadku procesów Twardowskiego i Krawczyka – wzbudziła kwestia tzw. niejawnych funduszy politycznych. Pieniędźmi z tych funduszy opłacano działalność BBWR w czasie kampanii wyborczych, tzn. pokrywano koszty agitacji wyborczej (np. przejazdy taksówkami, poczęstunek alkoholem, kaptowanie opozycyjnych polityków itd.). Feliks Lewiński, burmistrz Kartuz, zeznał, że często otrzymywał od starosty pieniądze na BBWR, z których tylko część była księgowana. Ba, zdarzało się nawet, iż starostwo przez wiele miesięcy wypłacało pensję (200 zł miesięcznie) sekretarzowi powiatowemu BBWR! Z niejawnych funduszy subwencjonowano również organizacje prorządowe, takie jak Związek Rezerwistów, Związek Strzelecki, Pomorski Związek Młodej Wsi oraz Legion Młodych. Pieniądze na te fundusze pochodziły z dwóch źródeł: z funduszy przekazywanych przez rząd na pomoc dla bezrobotnych, oraz z zawyżonych opłat pobieranych przez Komisję Rozdzielczą wydającą pozwolenia na wywóz artykułów rolnych na obszar Wolnego Miasta Gdańska. Jako że opisałem już wcześniej okoliczności powstania

i funkcjonowania źródła nr 1 (mam na myśli tzw. okólnik Zgrzebnioka; sprawę przedstawiłem w nr 39-40/2016 „Najwyższego Czasu!”), teraz skupię się na źródle nr 2. W 1934 roku na podstawie umowy między Rządem Rzeczypospolitej Polskiej a Senatem Wolnego Miasta Gdańska utworzono Komisję Rozdzielczą przy Pomorskiej Izbie Rolniczej w Toruniu. Komisja zajmowała się reglamentacją obrotu produktami spożywczymi z Wolnym Miastem. Rolnikom sprzedającym żywność do Gdańska, za odpowiednią opłatą wydawano zaświadczenia wywozowe. Owe zaświadczenia wystawiały urzędy starościńskie (na marginesie zauważmy po raz już nie wiadomo który, z jaką determinacją sanacyjna II RP budowała socjalizm; dla sanatorów wolny handel był jakąś straszliwą herezją; dla nich handel to: opłaty, reglamentacja, zaświadczenia etc.). Urząd starościński w Kartuzach – ale też i kilka innych – pobierał opłaty... wyższe niż w cenniku! Nadwyżki przekazywano na BBWR, finansowanie kampanii przed wyborami itd. W styczniu 1935 roku wykryto, że Leon Repiński, urzędnik prowadzący agendę Komisji Rozdzielczej w Kartuzach, część z tej nadwyżki wpłacał na swoje konto, lecz na polecenie wojewody Kirtiklisa sprawę ukrecono łeb, bo Repiński był „aktywnym i zasłużonym działaczem prorządowym”. Czarnocki zeznał (a potwierdzili to inni świadkowie obrony i oskarżenia), iż po tej wpadce, Kirtiklis rozkazał mu dalej pobierać zawyżone opłaty.

Kirtiklis na rozprawę nie został wezwany. Złożył w Warszawie przed sędzią śledczym zeznania, które odczytano w czasie procesu. Były wojewoda, podobnie jak podczas rozprawy Twardowskiego i Krawczyka, szedł w zaparte: o żadnym „okólniku Zgrzebnioka” nie wiedział, nie słyszał o „niejawnych funduszach politycznych”, nie zmuszał starostów do ich tworzenia ani do żadnych innych działań pozaprawnych itd. Kirtiklis kłamał jak najęty i na trzech procesach swoich byłych podwładnych po trzykroć zaparł się prawdy. Jeśli już operujemy pewnymi odniesieniami nowotestamentowymi, to powiedzmy wprost, iż postępowanie byłego wojewody bardziej przypominało postawę Judasza, aniżeli Piotra Apostoła. Zresztą pośrednio potwierdziła to pewna wypowiedź oraz zeznanie świadka obrony, kolegi Czarnockiego z gimnazjalnej ławy – generała Władysława Bortnowskiego. Generał powiedział w Sądzie Okręgowym coś niezwykle interesującego: „W związku z zeznaniami Kirtiklisa, mnie jedynie dziwi, że to jest człowiek, który nie wziął odpowiedzialności za to, co się stało. Wysoki sędzie, nie wiem, czy przed sądem mogę używać takich określeń, ale...”, i w tym miejscu padło bardzo niecenzuralne określenie poczynań i postawy pana Kirtiklisa. Na pytanie adwokata Rudzińskiego: „Czy wiadomo p. generałowi, że istniały zarządzenia województwa, które nakazywały nielegalną drogą tworzyć fundusze polityczne?” („Słowo Pomorskie”, nr 289 z 17 grudnia 1937 r.), sędzia przewodniczący pozwolił odpowiedzieć świadkowi, ale przy drzwiach zamkniętych. Mirza-Kryczyński kilkanaście razy ogłaszał utajnienie rozprawy, byleby tylko niewygodna prawda nie skompromitowała Kirtiklisa i sanacyjnych władz. Jeszcze dobitniej o Stefanie Kirtiklisie, generał Bortnowski wypowiedział się

kilka dni po rozprawie, w trakcie rozmowy z mjr. dypl. Tadeuszem Szumowskim: „Ci ludzie [skazani byli starostowie – S.S] wykonywali zlecenia Kirtiklisa, a gdy stali się niepotrzebni, zostali przez niego po prostu sprzedani”. Sądzę, że Bortnowski trafił w sedno, no bo proszę bardzo, porównajmy Kirtiklisa z Józewskim. Ten drugi tworząc tzw. układ wołyński (opisałem to w nr 17-18/2016 „Najwyższego Czasu!”) i przyzwalając na bezprawie, bronił swoich podwładnych jak dobry *capo di tutti capi*, kiedy powinęła im się noga. Ten pierwszy, wręcz zmuszał do bezprawia swoich starostów, a gdy wpadli, wystawił ich do wiatru i nawet nie kiwnął palcem, aby im pomóc.

20 grudnia Sąd Okręgowy w Gdyni ogłosił wyrok, na mocy którego uznano Czarnockiego winnym dziesięciu przestępstw spośród czternastu objętych aktem oskarżenia i skazano go na karę dwóch lat więzienia (z zaliczeniem aresztu śledczego) oraz grzywnę w wysokości 2 tysięcy złotych. Dodatkowo wobec oskarżonego orzeczono utratę praw obywatelskich na okres pięciu lat. Sąd uwierzył tłumaczeniom Czarnockiego „o wydatkowaniu pieniędzy na cele polityczne” (chodziło o kwotę ponad 22 tysięcy złotych, czyli ponad 220 tysięcy na dzisiejsze złotówki). W sentencji wyroku czytamy: „Sąd daje wiarę wyjaśnieniom oskarżonego, że kwoty te, pomimo że nie przedstawił oskarżony rozliczenia i odnośnych kwitów, wydatkował na cele niezwiązane z przeznaczeniem tych kwot. Wobec okólnika śp. Zgrzebnioka, naczelnika wydziału w Urzędzie Wojewódzkim Pomorskim, oskarżony mógł przypuszczać, że władze przełożone będą tolerowały tego rodzaju zużycie pieniędzy. Okólnik bowiem zezwalał na wydatkowanie pieniędzy na cele polityczne” (z relacji zamieszczonej w „Słowie Pomorskim”, nr 293 z 22 grudnia 1937 r.). Oczywiście stawiało to majora Kirtiklisa – jego zaprzeczenia i pokrętne tłumaczenia – w bardzo niekorzystnym świetle... Tuż po ogłoszeniu orzeczenia sędziowie przychyłili się do wniosku obrony o zwolnienie oskarżonego z aresztu za kaucją 10 tysięcy zł. Sprawa nie była jednakże definitywnie zakończona, ponieważ obie strony odwołały się od wyroku do Sądu Apelacyjnego w Poznaniu. Sąd drugiej instancji 13 kwietnia 1938 r. obniżył oskarżonemu karę do półtora roku więzienia. Strony złożyły kasację do Sądu Najwyższego, który przekazał sprawę Czarnockiego do ponownego rozpoznania Sądowi Apelacyjnemu w Poznaniu. 11 stycznia 1939 r. sąd ten podtrzymał wyrok pierwszej instancji, czyli karę dwóch lat więzienia. W związku z powyższym na początku sierpnia 1939 roku, decyzją ministra spraw wewnętrznych, Jerzego Czarnockiego wydano go ze służby państwowej (do tego momentu był on zawieszony w czynnościach radcy UWP w Toruniu).

A Stefan Kirtiklis? No cóż, spadł jak kot na cztery łapy. Zważywszy, że trzeci proces starościński – podobnie jak pierwszy i drugi – ponownie obciążał konto mjra Kirtiklisa, władze przekonały go we wrześniu 1937 roku „do odejścia w stan nieczynny”. W czerwcu 1938 roku, ten „wybitny działacz państwowy”, w wieku 48 lat, przeszedł na „zasłużoną” emeryturę.